

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Splendid isolation.

Jeden z przyjaciół naszego pisma zwrócił nam niedawno uwagę, że zbyt wiele miejsca poświęcamy sprawom t. zw. mniejszości narodowych, niewspółmiernie do ich znaczenia w życiu kulturalnym i gospodarczym naszego kraju, któremu, mimo wszystko, ton nadaje element polski.

Istotnie, trudno zaprzeczyć, że Wileńszczyzna z przyległościami obecnie jest okryta cieńszą lub grubszą warstwą pokostu polskiego, a gdzieś tam nawet. np. w samym Wilnie i jego najbliższej okolicy polskością przesiąknięty jest nawet grunt macierzysty. Jednakże polskość to dziwnie jałowa i pozbawiona twórczych pierwiastków. Miejscowe społeczeństwo polskie jakby zatraciło dawną żywotność i zdolność do rozwoju o własnych siłach. I to nie tylko pod względem politycznym. Pod wszystkimi innymi względami: kulturalnym, społecznym, ekonomicznym — również.

Wszystkie niemal przejawy życia polskiego u nas cechuje sztuczność i nienaturalność. Czy to weźmiemy teatr, czy ruch wydawniczy, czy kółka rolnicze, czy organizacje spółdzielcze, czy stowarzyszenia Młodzieży Wiejskiej lub Polskiej — wszędzie dostrzeżemy inicjatywę, kierownictwo, pomoc techniczną i materialną i t. p. ze strony żywiolów napływowych, przynoszących na nasz grunt i starannie aklimatyzujących tu rośliny, które wyrosły na innej glebie i w innym klimacie.

Gdyby pewnego pięknego poranku zabrakło tego poparcia i tej opieki z zewnątrz, można być pewnym, że z całego tak pięknie wyglądającego ogrodu pozostałyby po większej części suche badyle i zwędle liście.

O tej ewentualności mało kto myśli, i dlatego panuje w społeczeństwie polskim taka pewność siebie, która każe z uczuciem głębokiego politowania

lekceważenia spoglądać na mizerne wyniki samodzielnej pracy współobywateli innych narodowości.

My tej pewności nie podzielamy, a przeto patrzymy w nieznaną jutro może jaśniej i trzeźwiej. Zdajemy sobie sprawę, że jakkolwiek ukształtuje się przyszłość naszego kraju, pozostanie on terenem różnolitym pod względem etnicznym, zamieszkanym przez kilka narodowości, których wzajemny stosunek ilościowy i jakościowy nie pozostanie po wieczne czasy niezmienny. Kto wie nawet, w czyich rękach z czasem spocznie przewodnictwo i kto będzie nadawał ton życiu miejscowemu.

Lekkomyślnością więc nie do darowania jest stanowisko obecne olbrzymiej większości społeczeństwa polskiego, które z góry spogląda na inne odłamy ludności naszego kraju, nie interesując się ich życiem, ich potrzebami, ich bolączkami, ich dążeniami i ich krzywdami. Przecież poważna prasa polska potrafi zapełniać całe kolumny opisami rozmaitych uroczystości urzędowych i półurzędowych, które, jak piana, spływają po powierzchni naszego życia, nie pozostawiając żadnych śladów po sobie, a nie znajduje miejsca na suche chociażby zanotowanie takich faktów z życia litewskiego lub białoruskiego, nad którymi nie wolno przejść do porządku dziennego, zarówno ze względów zasadniczych, jak ze względu na dobrze zrozumiany własny interes.

Fakty te są nieraz drobne i z pozoru nie mające większego znaczenia, ale jakże charakterystyczne i wymowne!

Oto np. jest w tej chwili aktualną sprawą litewskich podręczników szkolnych. Czy znajdziemy w prasie polskiej o niej chociażby wzmiankę? Nie, a jednak zasługuje ona w zupełności, by się nią zainteresował każdy, kto nie zubożniał jeszcze doszczętnie na nonsensy naszego życia.

Rzecz się tak przedstawia:

Dn. 16 lipca b. r. udała się do kuratora wileńskiego okręgu szkolnego delegacja litewska dla omó-

wienia najżywotniejszych spraw miejscowego szkolnictwa litewskiego.

O przebiegu tej konferencji zamieściliśmy obszerną relację, zaczerpniętą z dziennika „Vin. Rytojus” w zeszłym numerze.

Najważniejszym rezultatem wspomnianej konferencji było przyjęcie przez delegację zaleceń kuratora opracowania nowych podręczników szkolnych, przystosowanych do warunków miejscowych i uwzględniających przynależność Wileńszczyzny do państwa polskiego.

Niebawem też została utworzona komisja, złożona z dyr. Szyksznisa, ks. prof. Kraujalisa i p. W. Budrewicza, która w porozumieniu ze Związkiem Nauczycielstwa Litewskiego uchwaliła opracować jeszcze przed Bożem Narodzeniem czytanki dla dzieci oraz podręcznik arytmetyki. Te dwie książki uznano za najpilniejsze, gdyż w używanych dotychczas podręcznikach ujawniało się najwięcej braków, wytkniętych przez kuratora.

Zdawałoby się więc, że sprawa jest na jaknajlepszej drodze, jako że miała być załatwiona w myśl życzeń władz szkolnych.

Tymczasem — piorun z jasnego nieba. Pismem Nr. 2285/31 z 11 sierpnia — w niespełna miesiąc po tak pięknie zapowiadającej się rozmowie z kuratorem — zakomunikował inspektorat szkolny na pow. wileńsko-trocki T-wu „Rytas”, że nie zatwierdzi następujących podręczników litewskich: 1) Czytanki cz. II — Esmaitisa, 2) Zbiór zadań arytmetycznych cz. II i III — J. Damijonaitisa, 3) Zbiór zadań i przykładów arytmetycznych cz. I i II — P. Bendoriusa i P. Daugirdasa, 4) Historia Litwy — Pranasa, 5) Historia Litwy — Esmaitisa i 6) Początki geografji — Krubera. W sprawie powyższego zarządzenia zezwolił łaskawie inspektorat apelować w terminie 14-dniowym do Kuratorjum.

Jak to zarządzenie nazwać? Biurokratyczną bezdusnością czy szykaną?

Ze słusznem też rozgoryczeniem pisze pod wrażeniem tych posunięć władz szkolnych „Vil. Rytojus”.

„Znamy dobrze braki swych podręczników i chętnie zgodzilibyśmy się więcej w nich o Wilnie pisać. Czyż jednak stawiane nam wymagania są konsekwentne? W lipcu zażądano zmiany podręczników, a już w sierpniu zakazano używania całego szeregu książek, których wielkie braki mają polegać na tem, że podręczniki są drukowane w Kownie, że wymieniają lity i ruble, że mało zawierają wiadomości o Wilnie. Przecie jasną jest rzeczą, iż w ciągu niecałego miesiąca nie mogliśmy wydać nowych podręczników”.

Zniechęcony i zrażony niesamowitemi praktykami władz szkolnych, pisze „Vil. Rytojus” w tym samym artykule co następuje: „Czasy dzisiejsze wcale się nie nadają do wydawania nowych podręczników. M-stwo W. R. i O. P. miało nawet — ze względu na ciężkie czasy — zabronić używania nowych podręczników, a tymczasem nagwałt kazano je produkować... Zapewne, przerobienie w podręcznikach arytmetyki rubli i litów na złote, a Kowna na Wilno — nie będzie zbyt trudne. Czy jednak jest to naprawdę ważne? A jak np. napisać litewską historję i książkę o Wilnie, którąby następnie władze zatwierdziły?”.

Istotnie jest to zadanie niezwykle trudne. Jak widać, konferencja z kuratorem nie była dość wyczerpująca, skoro temat powyższy — najważniejszy nie został tam poruszony. Jakkolwiekby, szkolnictwo litewskie znalazło się w położeniu bez wyjścia.

Dawne podręczniki zostały zabronione, a nowych jeszcze niema. Jak tu więc prowadzić nauczanie?

I czyż społeczeństwo polskie wie cokolwiek o tego rodzaju praktykach i metodach naszej biurokracji? Czy jest poinformowane o trudnościach, z jakimi muszą walczyć obywatele narodowości nie — polskiej w dziedzinie pracy oświatowej? I czy można

większy kłamca czasem niechęący prawdę lub coś do niej podobnego powiedzieć może...

Biskup kowieński M. Pallulon swego czasu opowiadał, że wstawał się osobiście u papieża Leona XIII, by ks. Skirmunt na osłodę dla siebie — przyłączony został przynajmniej jako konsultor do Kongregacji dla spraw nadzwyczajnych Kościoła. Leon XIII jednak odrzekł na to: „Proszę z tem się udać do Kardynała-Sekretarza Stanu”. Na podane sobie w tej sprawie przez b-pa Pallulona pismo, kardynał Rampolla, ówczesny sekretarz stanu, nie raczył nawet odpowiedzieć, dając przez to do zrozumienia, że wniesione podanie uznaje za niezastługujące na uwzględnienie. Istotnie w tym wypadku biskup wdał się w nie swoje, acz poszedł za odruchem swego serca. W latach późniejszych proponowano mu podobno katedrę biskupią raz w Krakowie, drugi raz w Poznaniu, lecz propozycja spotkała się z odmową.

Biskupi kowieńscy Pallulon i Cyrtowt przesyłali stale do Rzymu, na ręce ś. p. ks. Skirmunta, dzie-

Kilka wspomnień o działalności ks. prałata Kazimierza Skirmunta w Rzymie.

Autor panegirycznego nekrologu ś. p. ks. prałata Skirmunta w „Dzienniku Wileńskim” p. S. pisze o zmarłym: „dla siebie o nic nigdy się nie starał”. Przypuśćmy. Ale też chyba nie jest wielkim sekretem, że zato *inni* czynili za niego poważne kroki u rządu rosyjskiego w celu wypromowania go na stolicę biskupią w Wilnie. Rząd rosyjski nawet był przystały na tę propozycję i podobno proponował go Stolicy Apostolskiej, ale w Watykanie naocznie „inne jakieś wpływy przeważyły”, tak, że kandydatura ś. p. ks. Skirmunta nie została przyjęta. O tem można byłoby, przy dobrej zrzeczności, więcej szczegółów opowiedzieć. O zabiegach przeciwko kandydaturze ks. Skirmunta na biskupstwo wileńskie wspomina też w swej ostatniej rozgłosnej broszurze ks. Borodzicz. Naogół ks. Borodzicz, to źródło wielce podejrzane i najmniej dla nas wiarogodne, jednak i naj-

dziwić się, że wyniki jej nie są imponujące w porównaniu do dorobku otoczonego opieką państwową szkolnictwa polskiego?

Wyniosłość i jednostronność prasy polskiej jest wprost zdumiewająca. I oto dlaczego tak wiele miejsca poświęcamy t. zw. mniejszościom narodowym.

Tragiczne nieporozumienie.

Dnia 29 sierpnia w znanym galicyjskim uzdrowisku Truskawcu został zamordowany kilku wystrzałami z rewolweru Tadeusz Hołówko, prezes regionalnej wileńsko-nowogródzkiej grupy poselskiej Bloku Bezpartyjnego, b. naczelnik Wydziału Wschodniego w M. S. Z., głośny publicysta i polityk.

Sprawców morderstwa dotąd nie wykryto, opinia polska wszakże jednogłośnie posądza o nie terorystów ukraińskich. Czy przypuszczenie to jest słuszne, czy nie, my tu z oddali sędzić o tem nie możemy. Być może opiera się ono na jakichś konkretnych poszlakach, gdyż teoretycznie i logicznie rozumując nie sposób dojść do podobnego wniosku.

Nasuwa się bowiem pytanie, jaki cel mogli mieć teroryści ukraińscy w zgładzeniu T. Hołówki, jakie pobudki mogły nimi kierować w danym wypadku? Zemsta? Jeżeli na żadnego z czynnych aktorów słynnej „akcji pacyfikacyjnej” nie uczyniono dotąd nawet próby zamachu, to czemuż ofiarą odwetu miał paść człowiek, który, chociaż nie miał dość odwagi cywilnej, by przeciwstawić się otwarcie metodom „silnej ręki”, ale nie był również ich zwolennikiem, a tembardziej ich inspiratorem? Tak przynajmniej utrzymują w kołach dobrze poinformowanych. Może w środowisku ukraińskim panowała opinia odmienna? Może zaszło tu tragiczne nieporozumienie?

Ta jedna tylko hipoteza wydaje się możliwą do przyjęcia, bo wersja, że zamach na Hołówkę został spowodowany jego usilną akcją ugodową, będącą jakoby nie na rękę ukraińskim żywiołom nieprzejednanym,—nie wytrzymuje krytyki. Pisał wprawdzie i mówił ś. p. Hołówko b. dużo na temat zgodnego

współzycia polsko-ukraińskiego, jak również polsko-białoruskiego, polsko-litewskiego i polsko-żydowskiego, ale że nie był z natury politykiem realnym, więc żadnej działalności pozytywnej w tym kierunku nie rozwijał. Żadnego określonego programu w sprawach narodowościowych nie posiadał i nie głosił. Poza pięknie brzmiącymi ogólnikami o tradycjach dawnej Rzeczypospolitej, o potrzebie zgody i wzajemnych ustępstw, o szkodliwości nacjonalizmu i t. p., nie wysuwał w ostatnich czasach żadnej konkretnej koncepcji, któraby mogła być podsiawą kompromisu w stosunkach polsko-ukraińskich. Wątpię, czy ktokolwiek poważnie traktował puste i mętne deklamacje wiceprezesa klubu BBWR.

Był czas wprawdzie, gdy ś. p. Hołówko należał do obozu zdeklarowanych federalistów, gdy gorąco bronił projektu autonomji Galicji Wschodniej, gdy uznawał bez zastrzeżeń odrębność ziem litewsko-białoruskich. Było to wtedy, gdy jeszcze tkwił w szeregach P. P. S., gdy hołdował hasłom wolnościowym, gdy była aktualna walka o byt niepodległej Polski, gdy był istotnie romantykiem i idealistą czystej wody. Było to w każdym razie przed jego nominacją na stanowisko naczelnika Wydziału Wschodniego w M. S. Z.

Spotkałem się ze ś. p. Hołówką, po kilku latach niewidzenia się, u schyłku tego okresu w Wilnie. Spędziliśmy dłuższą chwilę na rozmowie o ówczesnej wewnętrznej i zewnętrznej sytuacji politycznej. Z tej rozmowy zostało mi tylko w pamięci ogólne wrażenie pewnego rozgoryczenia i niezadowolenia mego interlokutora z chwiejnej polityki rządu polskiego w sprawach narodowościowych, z braku wyraźnego programu w stosunku do Litwy, z niedość stanowczej postawy czynników decydujących w państwie.

Wkrótce potem nastąpiła nominacja T. Hołówki na wysokie i wpływowe stanowisko w ministerstwie spraw zagranicznych. Naprawdę oczekiwałem jednak jakiejś zmiany na lepsze w polityce wschodniej Polski. Słynna apokryficzna odezwa z Worń i wywołane przez nią „retorsje” w stosunku do Litwinów wileńskich, uporczywe popieranie akcji „pleczkajtisowców”, bałamutne konszachty w związku z likwidacją „Hramady”—stanowiły jaskrawe zaprzeczenie tych szczerych i lojalnych dróg postępowania, których rzecznikiem mienił się Hołówko.

siatki tysięcy rubli, stanowiących stypendja mszalne, przez pobożny lud litewski złożone. Wyznając zasadę, że „co katolik, to Polak”, zmarły *dzięki tym rublom litewskim*, mógł różnym wpływowym monsignorom w Rzymie głosić o niezwykłej ofiarności *pobożnych... Polaków!* Pierwszy kto zaprzestał korzystać z usług prał. Skirmunta w przesyłaniu do Rzymu litewskich stypendjów mszalnych, był właśnie biskup Karewicz. *Inde irae.*

W kilka dni po swej prekonizacji w roku 1914 na biskupa kowieńskiego, biskup Karewicz otrzymał od zmarłego prałata wielce uprzejme pozdrowienie i *oświadczenie gotowości do załatwienia w Rzymie spraw diecezjalnych, jakie mu się zleci.* Biskup Karewicz odpisał mu na to w tym sensie: „Uwielbiam Opatrzność, że składając na mnie biskupie obowiązki, daje w osobie księdza prałata doświadczonego i cieszącego się zaufaniem Stolicy św. rzecznika i pomocnika. To też przy nadarzającej się potrzebie skorzystam z Jego dobroci i usłużności”.

Rewizytując ś. p. ks. Skirmunta w lipcu 1914 r. w Rzymie, biskup Karewicz usłyszał z ust jego zażalenie następujące: „Duchowieństwo litewskie uważa mię za jakiegoś polskiego narodowca. Proszę księdza biskupa przyjąć moje zapewnienie, jak też duchowieństwu swemu oświadczyć, że jestem i chcę być tylko kapłanem katolickim i niczem więcej”. Gdy biskup Karewicz w odpowiedzi na to zapytał go: „A czy ks. prałat otrzymał od ś. p. ks. biskupa Cyrutowta pismo rehabilitujące osobę ks. prałata Maculewicza, nadszarpniętą przez niektórych (ks. Żongołłowicz) u Stolicy Apostolskiej?” — na to ks. Skirmunt odpowiedział: „Tak, otrzymałem”. Na dalsze pytanie: „A czy tę rehabilitację *Monsignore* doręczył w Watykanie?” — nastąpiła już nieco jękająca się odpowiedź: „Nie..., nie pamiętam”. Wtedy biskupowi Karewiczowi, znanemu weredykowi, wyrwało się *dictum acerbum*: „Nol to się nie dziwić, że księża kowieńscy śmieją się dotąd z poczciwości ś. p. biskupa Cyrutowta, który rehabilitujące opinię prałata

Ostatnio Hołówko przetrzymał się ze służby dyplomatycznej do pracy społecznej, jeżeli Blok Bezpartyjny można uważać za organizację społeczną. Kierował akcją przedwyborczą u nas i z tego tytułu ogłosił w roku ubiegłym kilka artykułów agitacyjnych, w których darmo szukać porywów romantycznych i krytycznego stosunku do rzeczywistości, które jeszcze tak niedawno cechowały bezkompromisowego szermierza wolności...

Współpraca z rządem miała być, według nowego wyznania wiary Hołówki, tem panaceum, które uleczy wszystkie bolączki i rozwiąże skomplikowane zagadnienia narodowościowe...

Głęboka ewolucja zaszła w duszy Tadeusza Hołówki w ciągu ostatnich paru lat, którą trafnie uchwyciło „Słowo”, pisząc, że hasło niepodległości polskiej w programie Hołówki ustąpiło miejsca hasłu Polski mocarstwowej. I tak było istotnie.

Jest niezmiernie charakterystyczną rzeczą, że oba dzienniki wileńskie, mimo wspólnej przynależności do obozu prorządowego, różniące się głęboko ze sobą pod względem ideowym, w nekrologach pośmiertnych zaliczają ś. p. Hołówkę do swych najbliższych przyjaciół politycznych. Zdaje się, że „Kurier Wileński” jest w błędzie, słuszność zaś jest po stronie „Słowa”. Polska mocarstwowa — zarysowująca się w marzeniach imperjalistów polskich jest przeciwieństwem Polski demokratycznej, uznającej bez zastrzeżeń prawo ludów stanowienia o sobie, a czyż zmarły tragicznie „apostoł idei zgodnego współżycia narodowości”, jak określają Tadeusza Hołówkę panegiryczne nekrologi, w swych kazaniach wspominał o niedoli rozdartych ziem litewsko-białorusko-ukraińskich i o potrzebie naprawienia tej krzywdy?

Takby postępował niewątpliwie romantyk i idealista, polityk realny szukałby rozwiązania trudności za pomocą konkretnych formuł kompromisowych na podstawie istniejącego status quo. Tadeusz Hołówko nie był ani jednym, ani drugim. Był tylko jaskrawym i typowym przedstawicielem ideologii „sanacyjnej” z całą jej nieuchwytnością i paradoksalnością.

A w takiej atmosferze najłatwiej zawsze o tragiczne nieporozumienia.

L. A.

Książka polska o sprawie białoruskiej.

W prasie i publicystyce polskiej nierzadko mówi się o sprawach białoruskich. Nie można powiedzieć jednak, żeby opinia polska była pod tym względem należycie poinformowana. Z nielicznymi wyjątkami spotyka się najczęściej zdania o sztuczności ruchu białoruskiego, o jego wywrotowych, szkodliwych dla państwa polskiego tendencjach i t. d.

W tworzeniu tego rodzaju opinii przoduje oczywiście prasa t. zw. narodowa, która w swoich informacjach o Białorusinach z reguły nie przebiera w środkach. Zła wola, zrodzona na glebie nacjonalizmu wojującego w pierwszym rzędzie, a potem niesumienność i lekceważący stosunek pisarzy do swego zadania składają się na to, że społeczeństwo polskie jest pozbawione możliwości zapoznania się z ruchem białoruskim w świetle rzeczywistym przy pomocy odpowiedniej literatury. Ktokolwiek w czasach obecnych zechce przy pomocy polskich źródeł poznać dokładnie kwestję białoruską, będzie musiał sięgać do prac jeszcze przedwojennych, które mogą czytelnika zaspokoić częściowo w zakresie badań folklorystycznych. Nie dają one natomiast należytego oświetlenia strony polityczno-narodowej, ponieważ ta ostatnia uwydatniła się dopiero w czasach najnowszych i bezstronnego badacza dotąd nie posiada. Najlepszy znawca zagadnienia białoruskiego p. Leon Wasilewski traktuje jednakże je dość powierzchownie i prace jego nie są pozbawione wyraźnych uprzedzeń i tendencyjności.

To też ukazanie się każdej książki lub broszury, poświęconej choćby kronikarskiemu notowaniu faktów ze wspomnianej dziedziny, należy powitać z uznaniem, jako niezbędny wysiłek do poznania zjawisk, które jeżeli się widzi, to jednak nie zawsze się rozumie z powodu złośliwego a jednostronnego oświetlenia ich w prasie nacjonalistycznej.

Mniejwięcej około półroku temu ukazała się na półkach księgarskich książka w języku polskim p. t. „Sprawa białoruska”, traktująca właśnie przedewszystkiem o politycznym rozwoju kwestji białoruskiej*).

*) *Ełski Stanisław. Sprawa białoruska. Zarys historyczno-polityczny. Warszawa 1931 r.*

Maculewicz przed Stolicą Apostolską pismo zaufał doręczyć prałatowi Skirmuntowi”. Ks. Skirmunt zarumienił się silnie, lecz jako człek dobrze wychowany, nie odciął się. Cóżby zresztą mógł powiedzieć na swą obronę, skoro przed chwilą sam zeznał, że pisma owego według adresu nie doręczył... Na tem rozmowa dwóch dygnitarzy kościelnych się urwała, i biskup Karewicz wnet grzecznie pożegnał prałata. Odtąd już nie korespondowali, ani się widywali.

Dalej nekrolog powiada, że „Pius X i Benedykt XV byli osobistymi przyjaciółmi zmarłego”. A jednak, pomimo tej przyjaźni, nie udało się ks. Skirmuntowi przekonać papieża Piusa X, względnie Benedykta XV o szkodliwości nominacji do Sejn biskupa Karasia (1910 roku), biskupa Karewicza do Kowna (1914), biskupa Matulewicza do Wilna (1918)... Również nie udało się mu przeprowadzić — już za rządów polskich! — nominacji ks. kanonika Lubiańca na sufragana wileńskiego. Papież Pius X, przekonawszy się, że przedstawione mu zarzuty

przeciw kandydaturze ks. Karewicza na biskupa kowieńskiego są bezpodstawne, albo zbyt przesadzone, co na jedno wychodzi, z pewnem zażaleniem odrzucił denuncjację, kiwając ręką i mówiąc: *E chi Polacchi!* (Eh! Ci Polacy!). Następstwem tego żalu papieża do polskich informatorów, że nie może na nich polegać i potrzebuje mieć takiego, ktoby bezstronnie go poinformował, było upatrzenie sobie takiego kapłana w osobie Rosjanina konwertyty, nadzwyczaj uzdolnionego, ks. Sergjusza Grum-Grzymajny. Już był mu zlecił w jesieni r. 1914 przybyć na stałą posadę przy Watykanie do Rzymu, gdy śmierć papieża w sierpniu 1914 r. przeszkodziła skutecznieniu tego projektu.

Swego czasu za Piusa X wywołała sporo pogłosek, dotyczących, rzecz dziwna, osoby ś. p. ks. Skirmunta, sprawa poinformowania Stolicy Apostolskiej, że w Wilnie jakoby katolicy zrobili... pogrom Żydów. Mieli wtedy interwenjować u papieża arcybiskup Teodorowicz i ksiądz biskup Sapieha. Zbyt

Wprawdzie jej autor zaznacza na wstępie, iż jest to „pierwsza skromna próba syntetycznego ujęcia całokształtu sprawy wyłączenie białoruskiej w świetle dziejów minionych, jak i w dobie obecnej”, — to jednak przedstawienie tych dziejów od czasów najdawniejszych do okresu wojny światowej na 12 stronach pierwszego rozdziału, wskazuje wyraźnie, że uwaga autora poświęcona jest przede wszystkim rozwojowi sprawy białoruskiej począwszy od r. 1915.

Niestety, trzeba zaznaczyć na wstępie, praca p. Elskiego, mimo całego szeregu trafnych i ciekawych spostrzeżeń, — luki białoruskiej w literaturze polskiej nie wypełniła, ponieważ niemal z każdej strony książki jest aż nadto widoczna tendencyjność. Zamykając ostatnią stronę, czytelnik dochodzi do wniosku, iż autorowi nie chodziło o wyzyskanie tematu aktualnego i wdzięcznego dla celów naukowych lub informacyjnych, natomiast odnosi wrażenie, iż jest to książka wyraźnie propagandowa, która postawiła sobie za cel udowodnić jak dobrze jest Białorusinom w granicach państwa polskiego i jak natomiast jest im źle pod rządami sowieckimi.

Nie będziemy na tem miejscu się zastanawiać, gdzie jest Białorusinom gorzej. Poprzestańmy na stwierdzeniu faktu, że wszędzie jest im źle. Nie będziemy również obalać wszystkich twierdzeń p. Elskiego. Jest zresztą w książce nieco uwag słusznych, choć niekorzystnych dla przywódców ruchu białoruskiego. Nie należy natomiast pominąć milczeniem najbardziej charakterystycznych momentów książki, choćby dla uzasadnienia zarzutu tendencyjności.

Przedewszystkiem wytknąć należy rażące sprzeczności. Przedwojenny ruch białoruski to — według pana Elskiego — dzieło rąk polskich. Wincenty Dunin-Marcinkiewicz, Kalinowski, oczywiście Polacy, a i Bohuszewicz z pochodzenia do nich należy. Na stronie 14 czytamy: „Znamiennem jest, iż pierwszymi promotorami tego ruchu, byli *wyłącznie* Polacy”, na stronie 21 zaś dowiadujemy się, że to byli *prawie wyłącznie* Polacy. Sprzeczność oczywista.

Na samym wstępie swojej pracy p. Elski utrzymuje, iż przed wojną światową o Białorusinach mało kto słyszał w Europie. „Kwestja białoruska nie istniała wcale” — mówi dosłownie, ale tuż o parę stron dalej autor twierdzi zgoła co innego. Mianowicie na stronie 9 czytamy czarne na białem: „Białorusini w znaczeniu odrębnego narodu występują

na widownię polityczną bardzo późno, gdyż dopiero na schyłku XIX wieku”. A na stronie 18: „Ruch białoruski nabiera większej intensywności dopiero w czasie pierwszej rewolucji rosyjskiej w latach 1905 i 1906”. Istniała więc wtedy kwestja białoruska czy nie?

A teraz tendencyjność.

W najbardziej „historycznej” części pierwszej, autor załatwiwszy się w kilku zdaniach ze znaczeniem w historii Białorusi dawnych księstw białoruskich i W. Ks. Litewskiego, uważał za potrzebne cytować z pracy Wasilewskiego kilka szczegółów, świadczących o braku uświadomienia narodowego wśród włóścian białoruskich w dobie rewolucji rosyjskiej. Nic natomiast niema o roli „Naszej Niwy”, która, jak wiadomo, w historii ruchu białoruskiego tworzy całkiem nowy okres, wywierający później zdecydowany wpływ na losy tego ruchu. Opuszczenie tego momentu jest jedną z najslabszych stron książki p. Elskiego.

Rozdział o ruchu białoruskim z okresu wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej jest opracowany najstaranniej i najobszerniej, ale i tu są informacje mocno kolidujące z rzeczywistością. Oto na przykład twierdzi autor, iż w szkołach białoruskich założonych za okupacji niemieckiej „zaczęto początkowo nauczać w języku rosyjskim”. Niepodobna spierać się, iż w braku nauczycieli Białorusinów mogły zdarzać się takie wypadki, lecz nie znaczy to, że takie nauczanie było regułą, lub że większość szkół używała języka rosyjskiego, jako wykładowego. A p. Elski tymczasem twierdzi, że „szkolnictwo” było białoruskie tylko z nazwy — de facto jednak pozostawało nawskroś rosyjskie”. To gołosłowne twierdzenie, zapożyczone prawdopodobnie z „Dziennika Wileńskiego”, oczywiście zaszczytu autorowi nie przynosi.

Rozdział p. t. „Białorusini w Polsce Odrodzonej” poświęcony jest przeważnie działalności „Hramady”, walce wyborczej do parlamentu, działalności posłów białoruskich i rozłamom w łonie partji białoruskich. Przytoczona jest odezwa wojewody Raczkiewicza o likwidacji „Hramady”, jak również zbiórki list przywódców Centrosójuzu skierowany do B. Taraszkiewicza z powodu odezwy wyborczej tego ostatniego.

Przy podawaniu wszelkich danych cyfrowych

jednak ta sprawa pozostaje dotąd niejasną, byśmy tu chcieli wyciągać jakieś wnioski, mogące uwłaczać czi zmarłego.

Litwini mieli żal do ś. p. ks. Skirmunta, między innymi, też za to, że ilekroć do Rzymu przybywała pielgrzymka litewska, nie mogła nigdy znaleźć księdza prałata. Ulatniał się wtedy z Rzymu.

Z Białorusinami ś. p. ks. Skirmunt osobiście prawie się nie zetknął, był jednak wielce niezyczliwym dla nich na gruncie rzymskim.

We wczesnym okresie swego życia korespondował on z metropolitą Szeptyckim, który posiada u św. Jura nieco listów nieboszczyka. W r. 1917 gdy obaj podczas wojny światowej znaleźli się w Szwajcarii (po powrocie Metropolity z niewoli rosyjskiej), ś. p. ks. Skirmunt wyrażał się przed metropolitą, że podział Galicji na jednostki polską i ukraińską uważa za konieczny.

Były to *lucida intervalla*.

Z powyższego widać, że zmarły wyczuwał przynajmniej niekiedy szkodliwość zasklepienia się jedynie w ideologii endeckiej. Panegirysta jego p. S. nie umiał wyczuć tego i dał sylwetkę „na obraz i podobieństwo swoje”. Na szpaltach „Dziennika Wileńskiego” pokazano podobiznę duchową, jakiegoś manjaka, chorego człowieka*), szowinisty, *tête carrée*...

Prawda, jak często, tak i tu jest po środku. P. S. twierdzi, że Kościół i Ojczyzna zyskały w osobie zmarłego „Świętego Orędownika w Niebie”. Daj Boże!

Możemy tylko cieszyć się z tego. Mamy bowiem nadzieję, że ś. p. ks. prałat Skirmunt w niebiańskim swem orędownictwie wyzbędzie się swych ziemskich uprzedzeń i inklinacyj.

Pr. K.

*) Tak go nazwał w Rzymie wyżej wspomniany ksiądz Grum-Grzymajło.

p. Ełski zdradza nieprzeciętną zachłanność na niekorzyść Białorusinów. Naliczył ich razem tylko 5½ miljonów. Przy obliczaniu głosów wyborczych widzimy to samo. Oto autor twierdzi, iż na 132 tysięcy głosów Bloku Mniejszościowego (r. 1928) oddanych w 8-iu północno-wschodnich okręgach, „na rzecz Białorusinów można zaliczyć maximum z połowę, czyli 66 tysięcy”. Tymczasem w jednym okręgu święciańskim Blok Mniejszości otrzymał 56 tysięcy głosów, gdzie procent Żydów, ze względu na brak większych ośrodków miejskich, oraz Litwinów, bojkotujących zasadniczo wybory, nie mógł być znaczny.

Kłeskę Białorusinów przy wyborach w r. 1930 p. Ełski przypisuje utracie wpływów stronnictw białoruskich, nawrotowi mas do obozu rządowego i rozproszkowaniu Białorusinów w walce wyborczej. Zgadając się z autorem najzupełniej co do tej ostatniej przyczyny, należy podkreślić zadziwiająca niezręczność autora w popieranlu swoich argumentów, co do rzekomej zmiany nastrojów mas białoruskich w kierunku prorządowym. Bo oto na stronie 75, gdzie jest już mowa o innej kwestji, czytamy: „Jeszcze niewątpliwie sporo czasu upłynie zanim uświadomienie polityczne chłopu białoruskiego wyjdzie z powijaków, do tego zaś czasu kierować się on będzie instynktami stadnemi, co zawsze sprzyja szybkiej, masowej i krańcowej zmianie orientacji”. Święte słowa, ale nie wypada wobec tego chwalić się zwycięstwem wyborczym. Zresztą jeśli już mówić o tem, należało autorowi „nie zapomnieć” napomknąć o swoistej taktyce wyborczej rządu przy ostatnich wyborach. A to było najważniejsze.

Nie słyszeliśmy również, żeby ktokolwiek z Białorusinów jako taki wszedł do Bloku Bezpartyjnego z ostatnich wyborów. Innego zdania jest p. Ełski. Odnajduje on tam 3-ch parlamentarzystów białoruskich. Czyżby to byli p. p. Pimonowowie? Żałować należy, że p. Ełski nie zaznaczył kiedy, jak i gdzie owi Białorusini zaprezentowali swoich wyborców i wystąpili w obronie ich interesów.

W króciutkim rozdziale o szkolnictwie p. Ełski twierdzi, że ludność białoruska chętniej garnie się do szkoły polskiej niż białoruskiej, że wbrew intencjom władz szkolnych nauczycielstwo białoruskie zabiega usilnie o otrzymanie posad w zachodnich prowincjach Polski, że niema nauczycieli białoruskich niezatrudnionych, że na Uniwersytecie Wileńskim otwarto *katedrę* języka białoruskiego. Są to rzeczy oczywiście tak rozbrajająco niedorzeczne, że nie wymagają sprostowania.

Nie można także zgodzić się z twierdzeniem, umieszczonem w rozdziale, traktującym o odbudowie gospodarczej ziem północno-wschodnich, — jakoby gros wysiłku gospodarczego jest skierowany na wspomniane obszary. Wbrew optymistycznym zapewnieniom o akcji scaleniowej, wieś białoruskie, jak wiadomo, całemi latami napróżno czekają na komasację. Mało lepiej jest i z odbudową gospodarstw zrujnowanych wojną. W kwestji osadnictwa nie odpowiada rzeczywistości twierdzenie, jakoby „rząd obdzielał ziemią przedewszystkiem tych, co mieli wykształcenie rolnicze, aby tą drogą tworzyć tak niezbędne na tych ziemiach wzorowe ośrodki rolnicze”.

Na zakończenie daje p. Ełski opis powstawania i rozwoju Białorusi sowieckiej. Rozdział ten, z nielicznymi wyjątkami, opracowany jest rzeczowo. Do wyjątków tych należy zaliczyć przedewszystkiem kwestję szkolnictwa. Autor podkreślając przedtem

z odzieniem dumy fakt istnienia kilkudziesięciu początkowych szkół białoruskich w Białorusi Zachodniej, zapomniał całkiem — o ile tylko wiedział, — że w Białorusi sowieckiej, według danych Komisarjatu Oświecenia Publicznego, w ubiegłym roku w szkołach powszechnych pobierało naukę w języku białoruskim jako wykładowym 582 000 dzieci. Faktu tego jako najbardziej doniosłego dla przyszłości ruchu białoruskiego ignorować nie można.

Na dowód jak w ciężkich warunkach żyje ludność białoruska za kordonem granicznym, p. Ełski przytacza wypadki ucieczki włościan z narażeniem życia do Polski. Ostatnie zajścia na pograniczu z tego argumentu robią miecz obosieczny i dlatego lepiej było o tem nie wspominać.

Oto pobieżny przegląd książki p. Ełskiego. Niepodobna wniknąć w ramach artykułu we wszystkie szczegóły tej bądź co bądź niezwyklej i ciekawej pracy. Dać wyczerpującą analizę zagadnień poruszonych — znaczyłoby napisać taką samą, a może i większą książkę.

Na samym wstępie swojej pracy autor wypisał jako motto następujące słowa Mac Donalda, wygłoszone we wrześniu 1929 r. w Genewie:

„Możecie dzielić Europę, jak chcecie, nigdy jednak nie osiągniecie tego, aby państwa obejmowały tylko jeden naród. Jedynem rozwiązaniem jest państwo złożone („l'etat composite”). Wielkim przywilejem większości jest stworzyć dla mniejszości odpowiednie warunki rozwoju i uczynić je dumnymi z ich przynależności do danego państwa”.

Motto to daje dostateczne pojęcie o myśli przewodniej książki p. Ełskiego. Rzucają na nią charakterystyczne światło pozątem takie szczegóły, jak podawanie źródeł nieopublikowanych i niedostępnych dla szerokiego ogółu (petycja Biał. Klubu Pos. do Ligi Narodów, konspiracyjne uchwały eserów białoruskich na konferencji z bolszewikami w Smoleńsku), pseudonim autora, niewymienienie wydawcy i t. p. Wszystko to czyni wrażenie wydawnictwa nawpół urzędowego, zrobionego na zamówienie.

Mimo jednak przejrzystej tendencji książki, mimo jaskrawych sprzeczności, niedomówień i niedokładności, zawiera ona w sobie nie mało informacyjnego materiału, którego napróżno szukać w innych pracach podobnej treści. Z tych to względów każdemu, kto chce zapoznać się z ruchem białoruskim i zrozumieć znaczenie jego roli w przyszłości naszego kraju — pracę p. Ełskiego polecić można, pod warunkiem, że krytyczny czytelnik sam potrafi zorjentować się gdzie jest stronnictwo i przesada, a gdzie ścisłość i prawda.

Al. S.

Bez skrupułów.

Prasa polska w Wilnie dziwnie jest w pewnych wypadkach jednomyślna. W pierwszym rzędzie — gdy chodzi o Litwę i Litwinów. Atakuje się więc wszystko, co trąci litewskością, miesza się z błotem „państwko kowieńskie”, obrzuca się stekiem insynuacji, posądzeń, oszczerstw każdy czynniejszy przejaw litewskiego bytowania. Jeżeli nawet są jakieś z tej reguły wyjątki — giną one bez echa w hurapatryjotycznym wrzasku tutejszych litwofobów.

Trudno nawet określić, kto temu zgiełkliwemu zespołowi przewodzi. Długi czas wydawało się, że

„z wieku i urzędu” tytuł dyrygenta przypaść powinien w udziale bogoojczyńnianemu organowi ręd. Obsta. Ostatnio atoli o palmę pierwszeństwa w tym względzie ubiegać się zaczęło imperjalistyczne „Słowo”.

Chodzi mianowicie o wyssaną z palca wiadomość o „finansowej ofenzywie Kowna na Wilnie” — wyrażając się słowami organu „polskiej myśli mocarstwowej”. Czytelnik przeciera oczy. Co? Jak? Litwa chce kupić Wilno? Ano, tak nas zapewnia „Słowo”, opierając swe dalekosiężne wnioski na, Bóg raczy wiedzieć skąd zaczerpniętych, informacjach o skupowaniu przez Litwinów na terenie Wileńszczyzny i za pieniądze rządu litewskiego obiektów rolnych. „Miljonowe fundusze płyną przez granicę na wykupywanie przedsiębiorstw i majątków” — sygnalizowało gorączkowo pismo, wtórując „Expresowi Wileńskiemu”, który wysokość tych funduszy określił nawet ściśle... na 50 milionów litów. Słowem pierwszorzędną sensacja dla czytelników. Z drugiej zaś strony — pierwszorzędne, acz smutne widowisko dla nieuprzedzonego widza: pismo, pragnące uchodzić za poważne walczy o lepsze z brukowcem. I o co? O brudną, niesmaczną sensację, o wierutny fałsz, którego wywlekanie kompromituje każdą, choćby minimalnie szanującą się gazetę.

Litwini istotnie nabyli w swoim czasie — w osobie prezesa Tymcz. Kom. Litewskiego p. Staszysa — dom przy ul. Dąbrowskiego 5, by umieścić tam swe tułające się dotąd po cudzych kątach gimnazjum. Nabyli też Litwini — a poczęści dostali w darze — dom Wilejszysa przy ul. Antokolskiej 6, by przenieść tam siedzibę Tymcz. Komitetu Litewskiego. Może któryś z Litwinów jeszcze coś kupił. Jakiś domek czy działkę ziemi. Cóż w tem jednak nadzwyczajnego? A zwłaszcza — co to ma wspólnego z rzekomą „ofenzywą finansową Kowna na Wilno”? Dlaczego się nie pisze o tem, gdy ten lub ów Litwin, zgębiony depresją gospodarczą wyprzedaje swe mienie i wynosi się z Wileńszczyzny lub przerzuca się do innej dziedziiny pracy?

Gołosłowna, będąca typową burzą w szklance wody naganka praśy polskiej na Litwinów miejscowych budzi w „Vil. Rytojus” (Nr. 69 z dn. 2-IX 1931 r. art. p. t. „Jedno z dwojga”) smętne refleksje: „Cel oszczerstw jest wyraźny: pragnie się za wszelką cenę utrzymać w mówiącej po polsku ludności nienawiść do Litwy. . Stanowi to bodaj główne i bezpośrednie zadanie praśy polskiej w Wilnie”. Po pesymistycznych rozważaniach na ten temat, dochodzi „Vil. Rytojus” do wniosków zgoła ponurych: „Dla wrażliwych redaktorów pism polskich „domy i grunty” są jedynie pretekstem do nowej jakiejś kampanji. Nie brak przytem wyraźnych prowokacyj. Tak np. „Dziennik Wileński” pisze, iż Tymcz. Komitet Litewski jest ekspozyturą Związku Odzyskania Wilna. Istny majstersztyk prowokacji”.

Nie jesteśmy skłonni do podzielenia poglądu „Vil. Rytojus”, jakoby szykować się miała nowa jakaś, zakrojona na szerszą skalę naganka antylitewska. Natomiast, może „Vil. Rytojus” ma słuszość, twierdząc, że „redaktorzy pism polskich w Wilnie są bądź wprowadzani w błąd przez nieuczciwych reporterów, bądź też orientując się sami w sytuacji i znając faktyczny stan rzeczy — nieuczciwie robią z igły widły, dla sprowokowania miejscowego społeczeństwa litewskiego”.

Nie wykluczając podanych przez „Vil. Rytojus” możliwości, dałoby się z powodzeniem przyjąć trze-

cią jeszcze ewentualność, a mianowicie zwykłą żądę taniej, brukowej sensacji.

Tak czy inaczej, pisma, które pośpieszyły z nasyeniem swych czytelników wyssanemi z palca „rewelacjami” niegorsze sobie *testimonium paupertatis* wystawiły.

Simplex.

WOLNA TRYBUNA.

Rozwód p. W. Ch. z p. Vox'em.

Powiadają, że pożycie małżeńskie ciężkie bywa często nietylko wtedy, gdy się zejną charaktery wręcz sobie przeciwne, lecz i wówczas, gdy w małżeństwie połączą się osoby bardzo do siebie podobne. Nie mogą wtedy znosić tej atmosfery, którą wytwarzają swemi jednakowemi usposobieniami, przyzwyczajeniami, wadami i — zaczynają walczyć, kłócić się i szukać rozvodu...

Widać to zjawisko oparte jest na jakichś głębokich właściwościach natury ludzkiej, bo spotykamy je nietylko w małżeństwach, ale... i w świecie literackim, a raczej — dziennikarskim. Przykładem może służyć polemika p. W. Ch. na łamach „Słowa” z niedawnymi swymi „przyjaciółmi” i „oblubieńcami”, wywodzącymi swój ród ze „społeczeństwa rosyjskiego w Polsce i duchowieństwa prawosławnego”.

Każdemu z osobna i wszystkim razem wiadomem jest, że „Słowo”, zwłaszcza od czasu pozyskania tak kompetentnego, „znawcy kwestyj wyznaniowych” jakim chce być p. W. Ch., zaczęło bawić się w zaloty z „sympatycznymi elementami” rosyjskiego społeczeństwa w Polsce. Nie jeden z czytelników „Słowa” wrzusał ramionami na widok tej przyjaźni, tych czułości, jakie sobie nawzajem prawili „Słowo” i „Woskresnoje Cztienje” — pierwsze ustami przedewszystkiem p. W. Ch. a drugie — p. Vox'a. Były momenty i takie, kiedy się zdawało, że nawet do „obłobyzania” już niedaleko...

Lecz nagle — zwrot: ton przyjaźni, czułości przechodzi w ton wymyślań, ostrości — wprost walki — tak, że pomimo zastrzeżeń redakcji „Słowa” zapowiada się coś w rodzaju rozvodu między agresywnym p. W. Ch., a nieustępującym mu pod tym względem p. Vox'em! I gdzie przyczyna? Właśnie w tem zjawisku, że zbyt podobne charaktery tak samo nie znoszą siebie, jak i wręcz przeciwnie, a wszak podobieństwo między p. W. Ch. a p. Vox'em — jest zbyt wielkie, uderzające! Zbyt uniżony ton przed moźnymi i rządzącymi *hic et nunc*, popisywanie się i ustawiczne podkreślanie swojej naukowości, używanie stylu daleko odbiegającego nieraz od norm estetyki i delikatności, rozmijanie się z prawdą, tendencja do jaknajwiększego dokuczenia swemu przeciwnikowi, nawet przebliski względem nich ukrytej złej woli, egzaltacja, „krzyczenie na cały głos”, zamiast spokojnego wnikanania i przedstawiania rzeczy — oto głównejsze cechy, wspólne wybitnym przedstawicielom wileńskim „Słowa” i warszawskiego „Woskresnego Cztiensa”.

P. W. Ch. w „Słowie” z dnia 15 lipca b. r., w artykule „Nostra culpa”, dał bardzo trafną ocenę swego własnego postępowania w dziedzinie polemiki.

Oto np. we wstępie tego artykułu pisze p. W. Ch. tak: „Każdego uważnego czytelnika prawosławnych czasopism w Polsce musi uderzyć zdecydo-

wana ewolucja, którą odbywa ta prasa, coraz wyraźniej... i znajdująca wyraz w nastawieniu ultra-państwowem; i wyraźnie antykatolickiem”.

Że takie spostrzeżenie co do większości prawosławnych czasopism w Polsce jest trafne, to nie ulega wątpliwości. Ale niemniej oczywistym i ubolewania godnym jest też fakt, że co do „Słowa” wileńskiego, zwłaszcza zaś artykułów p. W. Ch. również te same spostrzeżenia uczynić trzeba. Mamy u p. W. Ch. nastawienie ultra-państwowe, bo wszak p. W. Ch. stara się ustawicznie zagadnienia kościelne ujmować z punktu własnych swoich zapatrywań polityczno-narodowych i państwowych. Mamy dalej i nastawienie „wyraźnie antykatolickie”, bo p. W. Ch. zupełnie nie liczy się z zasadą, że katolik powinien *sentire cum Ecclesia*, lecz przeciwnie — stara się na wszelki sposób krytykować, przekreślać, wprost zohydzać to, co Kościół Katolicki przez swych przedstawicieli zrobił lub robi na polu misyjnym. Jasnym naprz. jest, że OO. Jezuici w Albertynie mają aprobatę Stolicy Apostolskiej co do swej misji a jednak p. W. Ch., ustawicznie „na cały głos krzycząc”, krytykuje *i per fas et nefas* stara się przedstawić tę misję w świetle ujemnym. W takim postępowaniu p. W. Ch. czytelnik — katolik nie może wyczuć zasady *sentire cum Ecclesia*, lecz wyczuwa coś wręcz przeciwnego, coś antykatolickiego i — odnosi także niesmaczne wrażenie, jak i czytając występy oficjalnej prasy prawosławnej. Piszący te słowa sam to odczuł i o takichże wrażeniach słyszał od innych osób, jak świeckich, tak i duchownych, a nawet biskupów... „Smutek i niepokój” przeto opanowuje „beznamiętnego obserwatora” na widok, że oto katolicy tak nie po katolicku ustosunkowują się do pozycyonał Stolicy Apostolskiej...

Narzeka p. W. Ch. na „gwałtowną... niezawsze w porę i najczęściej w formie bardzo niemiłej” obronę interesów państwa polskiego przez prasę prawosławną. Dobrze. Ale niech p. W. Ch. zajrzy do cyklu swych artykułów a znajdzie w nich akurat to samol... Wszak nie kto inny, jak p. W. Ch. w każdym posunięciu, w każdym czynie dzisiejszej akcji unijnej węższy niebezpieczeństwo dla państwa, — a czyni to właśnie w sposób nieumiejętny, bo wręcz przeciwny poczynaniom i tendencjom dzisiejszego rządu, któremu chciałby się przysłużyć.

Wytyka dalej p. W. Ch. prasie prawosławnej, że w myśl „odwiecznych tradycyji Cerkwi... nie zna niezależnego autorytetu ponadpaństwowego i ponadrządowego, jakim jest Stolica Apostolska”. Ale i w artykułach p. W. Ch. niezbyt widać uznawanie tego autorytetu, a zato bardzo jasno występuje tendencja do podporządkowania spraw religijnych interesom państwowym i narodowym... rozumianym na swój sposób przez p. W. Ch.

Ubolewa p. W. Ch. nad tem, że w prasie prawosławnej zarysowuje się coraz brutalniej obłądana nienawiść do katolicyzmu. Ubolewanie słuszne, ale, niestety, na takie ubolewanie zasługuje polemika p. W. Ch., w którego artykułach coraz wyraźniej zarysowuje się jakaś zawziętość, a nawet nienawiść do dzisiejszej realnej akcji unijnej, do obrządku wschodniego, do działalności OO. Jezuistów w Albertynie, do Konferencyj pińskich etc. etc.

Prawdą jest, iż „wiele artykułów, drukowanych w tygodniku „Woskresnoje Cztenieje”..., mogłoby

bez przerw ukazać się na łamach „rewolwerowej prasy protestanckiej”, ale prawdą jest i to, że w artykułach p. W. Ch. jest wiele takiej treści, która nie może zapełniać pism prawdziwie katolickich i która jest wodą na młyn wrogów katolicyzmu.

Podjeżdżając p. W. Ch. prasę prawosławną, iż dąży ona do „otumanienia szerszych mas i wywołania nienawiści do katolicyzmu, która ma zastąpić przekonania religijne”. Ale czytając artykuły antyunijne p. W. Ch., nasuwa się uporczywie podejrzenie, iż i p. W. Ch. chodzi oto, by wywołać u nas nienawiść do katolicyzmu w obrządku wschodnim...

Jeżeli absurdem i bezczelnością należy nazwać pretensje p. Benefaktowa do obrazu Ostrobramskiego, jak to czyni p. W. Ch., to takąż nazwą należy ochrzcić te ustawiczne nudne już do ostateczności, wywody p. W. Ch. o rzekomej tendencji rusyfikacyjnej OO. Jezuistów w Albertynie, o niebezpieczeństwie obrządku wschodniego, o metodach symulacji w tym obrządku etc. etc. U p. Benefaktowa „potworne kłamstwo” — i u p. W. Ch. też „potworne kłamstwo” — a więc — *wart pałac Paca...*

Przykre jest, że prasa prawosławną tak bardzo ubliżająco i tak często pozwala sobie odzywać się o prawdziwym Chrystusowym Kościele, o jego przedstawicielach — kapłanach, a nawet i biskupach. Przykre to jest i bolesne dla serca dobrego katolika. Ale bądźmy szczerzy i powiedzmy, czy też w artykułach p. W. Ch. wszystko jest w porządku pod tym względem? Kategorycznie twierdzą, że nie! Zarzuca np. tak często p. W. Ch. i „szaleństwem” nazywa przyjmowanie duchownych prawosławnych na łono Kościoła katolickiego. („Słowo” № 159, artykuł „Nostra culpa”), a wszak katolicy dobrze wiedzą o tem, że przyjmowanie na łono Kościoła nawróconych kapłanów prawosławnych odbywa się tylko *z woli naszych biskupów*, a ostatnio — samej Stolicy Apostolskiej! Jak maluczcy tegoż Kościoła katolickiego mają patrzeć na ten zarzut „szaleństwa”, stawiany przez p. W. Ch. biskupom katolickim? A jak to wytłomaczają sobie i wykorzystują wrogowie Kościoła? Faktem jest, że fundament do niemądrego gadania p. Senexa w „Woskr. Cztenieje” i do określania unji jako symulacji i herezji, dał nie kto inny tylko p. W. Ch. nielogicznym interpretowaniem swego czasu na łamach „Słowa” słów ks. biskupa Łozińskiego, wypowiedzianych na I Konferencji pińskiej.

„Nostra culpa” — te słowa rzeczywiście, mocno poczuwając się do winy i publicznie bijąc się w piersi, powinien wyrzec p. W. Ch. w stosunku... do siebie!

Jasna rzecz, iż prawosławni doskonale rozumieją, że p. W. Ch., zwalczając dzisiejszą akcję unijną, czyni to przede wszystkim z pobudek politycznych, które wcale nie są miłe dla nich. Nie chcą prawosławni unji wogóle, ale tembardziej nie życzą sobie unji według recepty p. W. Ch.. A więc — poznali się — i rozwód stał się nieuniknionym, co właśnie stwierdzają ostatnie artykuły p. W. Ch., umieszczone w „Słowie”.

I nic tutaj nie pomogą przypiski redakcyi „Słowa”, zapewniające o sympatjach dla społeczeństwa i duchowieństwa prawosławnego, wiedzą bowiem sąsiedzi, jak kto gdzie siedzi...

Verus

